

Paul Anderson

Drogi Miłości

Przełożył: Wiktor Bukato



Minęło już dziesięć ich lat od chwili, gdy owa istota po wyjściu z transportera znalazła się na pokładzie naszego statku - i umarła. Dziś oto staliśmy na powierzchni jej planety i oczekując wspominaliśmy.

Statek kosmiczny Lotne Skrzydło podążał ku najjaśniejszej gwiazdzie konstelacji, od której wziął nazwę. Dotrze tam dopiero po upływie wielu pokoleń, choć znajdował się już w drodze, z szybkością nieco wyższą od połowy prędkości światła, od sześciuset dwunastu obiegów naszej planety, Arvela, wokół słońca Sarnir. Tak bezkresny jest kosmos. Prawdę mówiąc, żaden inny statek nie zapuścił się dotąd tak daleko, toteż Rero i ja poczytywaliśmy sobie za zaszczyt, że powołano nas do służby na jego pokładzie.

Nie to, żebyśmy spodziewali się czegoś wyjątkowego; raczej odwrotnie. Dopóki pojazd kosmiczny nie dotrze do celu podróży, niewiele jest do roboty poza cierpliwym wypełnianiem codziennych obowiązków. Wymiana załogi staje się niemal czynnością rytualną. Wchodzisz razem ze swym partnerem do stacji transportera na Irjelanie. Para, którą macie zmienić, teleportuje się ze statku, po czym informuje was o sytuacji na pokładzie. Ta zazwyczaj nie trwa długo i z reguły odbywa się swobodnie w Łoży Starszych, nad kotłem dymiących liści. (A jednak widząc, jak Arvel lśni zielenią pośród gwiazd, nad poraną twarzą swego zewnętrznego księżyca, zaczynacie odczuwać znaczenie tej służby). Wkrótce żegnacie się z dwojgiem tamtych, splatając czuлки, i kierujecie się ku właściwemu nadajnikowi. Błysku energii, która przeświewa i dezintegruje wasze ciała, atom po atomie, nie odczuwacie zupełnie; przenika was zbyt szybko, tak samo szybko jak modulowana wiązka tachjonowa, która w jednej chwili przebiega lata świetlne dzielące stację od Lotnego Skrzydła. W odbiorniku wzory, które są wami, zostają odtworzone z nowych atomów i oto jesteście na pokładzie statku kosmicznego na najbliższe dziewięćdziesiąt sześć dni.

Do waszych obowiązków należy utrzymywanie urządzeń w porządku, czasem niewielkie naprawy; zapisujecie wyniki obserwacji naukowych, a być może później programujecie nowe badania; możecie też włączyć silnik w celu dokonania poprawki kursu, choć tak daleko od celu zdarza się to rzadko. Żadne z tych zajęć nie jest zbyt pracołłonne. Wasze właściwe zadanie polega na obecności na statku na wypadek jakichkolwiek zdarzeń nadzwyczajnych. Czasem znajdujący się w ruchu pojazd używany jest jako stacja przesiadkowa przez parę lub grupę, która udaje się na planetę zbyt odległą, by dotrzeć do niej jednym skokiem. Wówczas zatrzymują się u nas na krótko. Lotne Skrzydło miało takich gości, znajdowało się bowiem już na granicy poznanego przez nas kosmosu, a kierowało się jeszcze dalej, w regiony dotąd nie poznane.

Rero i ja nie mieliśmy nic przeciwko samotności. Praca, którą zwykle wykonywaliśmy, dawała nam satysfakcję. Pełniliśmy obowiązki pilota i głównego inżyniera na licznych statkach badawczych w wielu układach planetarnych, a do naszych obowiązków należała pomoc zespołom badawczym po dowiezieniu ich na miejsce. Z konieczności więc zostaliśmy domorosłymi ksenologami. To z kolei związało nas z pracami Instytutu Gwiezdnego na Arvelu, zarówno jeśli chodzi o rozliczne zajęcia towarzyskie, jak i o ocenę danych. Kiedy woleliśmy pozostać w domu, nie mogliśmy nawet wykręcić się zajęciami rodzinnymi, nasze dzieci bowiem osiągnęły już wiek młodzieńczy. Nie chcieliśmy zresztą mieć ich więcej;

nowy maluch unieruchomiłby nas na Arvelu. A zbyt wiele przyjemności dawał nam kosmos. Ceną zaś było to, że nie mieliśmy prawie własnego życia.

Toteż bardzo nam odpowiadała samotność, podczas której mogliśmy medytować, czytać, oglądać klasyczne choreodramy, odpowiednio wczuwać się w pewne utwory muzyczne i zapachowe, kochać się swobodnie i bez pośpiechu. I tak było przez dni siedem i trzydzieści.

Potem nagle rozległ się alarmowy gwizdek, zabłyśły ostrzegawczo ekrany, a my pospiesziliśmy do komory odbiornika. Kiedy oczekując zawiliśmy w nieważkości, odczułem bicie obu naszych serc. Ciało Rero i moje starały się ochłonać z podniecenia; otaczała nas mgiełka i wydzielaliśmy silny zapach, złączyliśmy kończyny żałując, że nie możemy połączyć ciał. Co spowodowało, że ktoś do nas dotarł? Czy to jakiś posłaniec zwiastujący nadejście kataklizmu?

Przybywający zmaterializował się i poznaliśmy, że katastrofa dotknęła jego, nie nas.

Pierwszy szok na jego widok zlał się z bólem, który odrzucił nas, wydających okrzyki zdumienia. Podczas teleportacji do odbiornika przedostała się również niewielka ilość atmosfery z tamtego statku. Rozpoznałem śmiertelność cierpkość tlenu. Na szczęście było go niewiele, tak że nasze odpowietrzacze natychmiast się z nim uporały. Jednocześnie zaś nowo przybyły zmarł w bólach, próbując oddychać chlorem.

Zbliżyliśmy się, by oddać posługę unoszącemu się w komorze ciała. Cisza sączyła się z niewidocznej ciemności poprzez otaczający nas obnażony metal, tak jakby chciała pogrążyć naszego ducha. Długo patrzyliśmy na martwe ciało; nie wiedzieliśmy jeszcze, że to ciało mężczyzny, ludzkie genitalia bowiem są równie osobliwe jak ludzka psychika. Zapachy ciała były słone i kwaśne, proste i nieliczne. Zastanawialiśmy się, czy to dlatego, że już nie żyje. (Oczywiście nie mieliśmy racji). Kiedy ostrożnie, z uszanowaniem, otworzyliśmy zapięcia jego poplamionego kombinezonu oraz odzieży spodniej, przez chwilę przyglądaliśmy się szukając w nim piękna. Był groteskowo podobny do nas i niepodobny: również dwunogi, większy od Rero, mniejszy ode mnie, z pięcioma palcami u ręki, ani jedną częścią ciała nie przypominający żadnej z naszych. Najdziwniejsza była chyba jego skóra. Poza obszarami owłosienia oraz pojedynczymi włosami na pozostałej powierzchni ciała skóra ta była gładka, żółtawobiała, pozbawiona komórek zmieniających ubarwienie oraz zaworów upuszczających pary zapachowe. Zastanawiałem się wówczas, jak takie istoty potrafią wyrazić swe myśli, swe najgłębsze uczucia (do dziś tego nie wiem). Ale najosobliwsze wydały mi się oczy. Miał ich dwoje, tak samo jak my, ale w tym pozbawionym wici, dziwnie powykręcany obliczu wydawały się ślepe, ponieważ biel w nich otaczała kolor niebieski... niebieski.

- Obca rasa inteligentna - wyszeptała w końcu Rero. - Pierwsza przez nas spotkana, która również prowadzi badania. Pierwsza. I oto jeden z jej przedstawicieli musiał trafić na nasz statek, bez zabezpieczenia, i umrzeć. Jak to się mogło stać?

Wzrokiem i palcami obiegłem jego ciało, tak łagodnie, jak potrafiłem. Jego aura zanikała szybko. Och, wiem, że to tylko promieniowanie podczerwone; nie

jestem inkarnacjonistą. Niemniej jednak to przygasanie jest jak sygnał do ostatniej podróży.

- To jego wycieńczenie może być typowym objawem dla tego gatunku, a ich społeczność nie wytworzyła, być może, nawyku czystości - stwierdziłem najbardziej beznamiętnym tonem, na jaki było mnie stać. - Jednak wątpię w jedno i drugie, podejrzewam zaś, że by } to tragiczny wypadek wynikający z jakiegoś wcześniejszego nieszczęścia. - Jednocześnie w myślach odmówiłem starodawne pożegnanie: Niech Bóg wezmą do siebie twą duszę i niech spoczywa ona w ciepłe Jego torby, karmiona mlekiem Jej wymienia, aż to, co było tobą, wzrośnie i odejdzie wolno.

Rero przyłączyła się do moich rozważań, które, jak się potem okazało, były poprawne. Ponieważ prawda nigdy się nie doczekała szerszego podania do wiadomości na Arvelu, oto, w skrócie, najważniejsze fakty.

Krzyż Południa był także jednym z najstarszych i najdalej wysłanych statków jego planety. Tak samo zmierzał ku najjaśniejszej gwiazdzie konstelacji, od której wziął nazwę, a była to ta sama gwiazda, ku której podążaliśmy my: ludzie nazwali ją Alfa Crucis. I podobnie jak my, oni też używali teleporterów do wymiany załóg podczas lotu. Ich statek przypadkowo przeleciał nie opodal wypalonego czarnego karła, co spowodowało, że zmienili program lotu i weszli na orbitę, by zbadać ten obiekt. Wysłano czterech mężczyzn, by wykonali te prace. Nieprzewidziane okoliczności, a przede wszystkim potężne pole magnetyczne obiektu, spowodowały uszkodzenie zarówno napędu jonowego, jak i teleportera. Dwaj z nich zginęli podczas prób naprawy. Dwaj pozostali zaczęli już głodować, gdy w końcu udało się im zmontować prymitywny teleporter. Nie znając dokładnie jego parametrów, musieli manipulować .strojeniem, aż w końcu otrzymali sygnał stacji odbiorczej. Kiedy to się stało. David Ryerson skoczył, niewiele myśląc, do komory nadajnika.

Prypadkiem jednak był on zestrojony nie z jedną z ludzkich stacji, ale z naszą, na pokładzie Lotnego Skrzydła.

- Musimy odpowiedzieć, i to szybko - zwróciłem wkrótce uwagę Rero - nim ten. kto jest po drugiej stronie, zmieni nastroje i stracimy kontakt.

- Tak - zgodziła się. Jej aura płonęła podnieceniem, choć jednocześnie dotykiem oddawała cześć zmarłemu. - Na jutrzeńkę, cóż za cudowne zdarzenie! Rasa istot równie wysoko rozwiniętych jak my, ale z pewnością wiedząca to, czego my nie wiemy... cały system teleportacji złączony z naszym... O, nieznanego przyjaciela, ciesz się swym losem!

- Włożę ubiór ochronny i przeniosę tam jego ciało - powiedziałem. - To powinno udowodnić naszą dobrą wolę.

Co takiego? - Jej zapach, obłoki pary. poczerwiałe komórki ubarwienia, wszystko zdradzało przerażenie. Schwyciła mnie za ramię wpijając się w nie szponami. - Sam? Nie, Voahu, nie! Przyciągnąłem ją do siebie.

- Duszę mą przepelni jakby szary ogień. Rero. życie moje. gdy cię opuszczę nie wiedząc, czy... czy nie skazuję cię tym samym na wdowieństwo. Ale jedno z nas musi tam się udać. drugie zaś pozostać, aby opiekować się statkiem i przekazać wieści do domu. gdyby drugie uczynić tego nie mogło. A sądzę, iż żeńskie

umiejętności nie zdadzą się tam na wiele, gdyż ich statek zapewne nie będzie większy od naszego, męska siła może natomiast zaważyć nieco.

Nie opierała się długo, gdyż - prawdę mówiąc - ma więcej nawet zdrowego rozsądku ode mnie. Chodziło tylko o to, bym to ja tak postanowił. Nawet nie poświęciliśmy kilku chwil na akt miłosny, ale nigdy dotąd nie widziałem czystszej czerwieni we wzroku Rero jak wtedy, gdy była w moich objęciach.

I tak, zabezpieczony przed trucizną, wszedłem do komory nadajnika i zjawiłem się na pokładzie Krzyża Południa z ciałem Davida Ryersona w ramionach. Jego towarzysz podróży, Terangi Maciaren, przyjął je ode mnie ze zdumieniem pomieszanym z trwogą. Później Rero i ja pomogliśmy mu dostroić teleporter do stacji należącej do jego rasy, po czym Terangi McLaren przekroczył dzielącą go od niej otchłań, niosąc wieści o tragedii i chwale.

...Minęło dwanaście lat - dziesięć ziemskich - o których wiadomo wszystkim, kiedy to przedstawiciele obu gatunków spotykali się na terenach neutralnych, kiedy wysłannicy jednej i drugiej strony wracali z gościny oszołomieni tym, co widzieli, kiedy tymczasem uczeni obu ras wspólnie wypracowywali dostateczną platformę porozumienia, by w końcu pojąć, jak mało wiedzą o tym, czego dokonała druga strona. Moja żona i ja braliśmy udział w tych pracach, nie tylko dlatego, że to my byliśmy uczestnikami pierwszego kontaktu, ale również dlatego, że nasze poprzednie doświadczenie z istotami rozumnymi stawiały nas wśród najbardziej kompetentnych. To prawda, że dotychczas spotykaliśmy się wyłącznie z rasami prymitywnymi, podczas gdy teraz Arvel miał do czynienia z cywilizacją, która opanowała energię atomową, przebudowywała geny i zakładała kolonie w innych systemach gwiazdnych. Ale i w tym wypadku oboje mieliśmy doświadczenie: Rero potrafiła się dogadać z ich pilotami, ja zaś - z inżynierami.

Toteż kiedy Ziemia, dla której dziesięć jest liczbą szczególną, postanowili urządzić obchody dziesiątej rocznicy pierwszego kontaktu i zaprosili do udziału wysłanników Arvela, stało się oczywiste, że Rero i ja zostaniemy wybrani. Pomijając znaczenie symboliczne, nasza obecność może się okazać przydatna. Jak dotąd, oprócz osiągnięć technicznych obie nasze rasy niewiele razem dokonały. Był już czas najwyższy na pewne uzgodnienia, a przede wszystkim - choć nie wyłącznie - jeśli udałoby się nam złączyć nasze sieci teleportacyjne, każda ze stron miałaby dostęp do dwukrotnie większej przestrzeni, dwukrotnie większych dóbr, dwukrotnie większej liczby planet do kolonizacji...

Nie, to nie tak. Pod tym względem Arvel zyskałby mniej, ponieważ planety Układu Sarniriańskiego mają wyjątkowo rzadko spotykany dobór pierwiastków. Planety, na których fotosynteza uwalnia chlor, są znacznie rzadsze niż te, gdzie uwalnia ona tlen, a jest to tylko jedno z kryteriów. (Mój brat żeglarz, David Ryerson, miał wszak wapń zamiast krzemu w kościach). Wielu naszych okazało tu brak wspaniałomyślności żądając wyrównania tej różnicy. Tymczasem na Ziemi... ale to właśnie jest tematem mojej opowieści, o ile zdołam ją przekazać. Bez wątpienia obie strony nękała jedna myśl: Jak dalece możemy im ufać? Wszak dysponują energią, która potrafi niszczyć całe planety.

Niby to przybyli w celu wzięcia udziału w niegroźnych ceremoniach. Rero i ja chcieliśmy jednak przede wszystkim prywatnej rozmowy z liczącymi się ludźmi,

by w ten sposób położyć fundamenty konferencji, która zakończy się porozumieniem. Taki był nasz plan, gdy z ochotą godziliśmy się na wizytę.

Tym większe było nasze rozczarowanie, gdy bezowocnie spędziliśmy jakiś czas na Ziemi. I tak oto stało się, że znaleźliśmy się na trasie, czekając na zawiezenie w miejsce tajemnego spotkania.

Ongiś twierdza w groźnych czasach, później przebudowana i powiększona, by pomieścić władców planety; nazywana Cytadela, wznosiła się majestatycznie pośród gór noszących miano Alp. Z podestu spoglądaliśmy w dół stromych zboczy i skał, które karkołomnie opadały w dolinę. Za nią granie wznosiły się na nowo, wodospad błyszczał jak dobyte ostrze, szczyty otulała biel z rzadka skryta w błękitnym cieniu, zielono połyskiwały wielkie masywy. Jest to chłodna planeta, na której woda często zamarza, a widok jest wówczas przepiękny. Słońce na bladym niebie zbliżało się do południa; jego tarcza wydawała się nieco większa niż Sarnir widziany z Arvela. lecz światło było przyćmione. Nie tylko dostarcza ono mniej ultrafioletu; powietrze pochłania znaczną część całej skali promieniowania. A mimo to Rero i ja nauczyliśmy się znajdować piękno w łagodnej, złotawej poświacie, w tysiącu nieśmiałych zabarwień niesamowitych pejzaży.

- Chciałabym... - Wiatr głuchym dudnieniem tłumił głos Rero. Umilkła, ponieważ nie musiała słowami wyrażać myśli. Poprzez przezroczysty skafander widać było. jak jej czułki twarzy i mowa skóry wyrażały żądzę wdychania, wachania, picia, smakowania, odczuwania, przyjmowania w całości tego, co wokół niej. Niemożliwe, oczywiście, chyba że w pierw zastosujemy inhibitor bólu; potem zaś zostanie jej ledwie przelotny moment orgazmu percepcji absolutnej, nim zabije ją tlen. Biedny David Ryerson; gdyby wiedział, co go czeka, zginąłby przynajmniej doświadczając, a nie w stanie oszołomienia.

Wziąłem ją za rękę, przez dwie rękawice. Moje pożądanie było podobnej mocy jak u niej, ale skierowane w jej kierunku. Dostrzegła to i zalotnie zwróciła swój organ płciowy w mój kierunek... ale reszta jej ciała sugerowała tęsknotę raczej niż rozbawienie. Wyobraźcie sobie to samo w stosunku do waszych partnerów: cały czas spędzany poza kwaterą zaadaptowaną do warunków panujących na Arvelu (czyli praktycznie większość czasu) jesteście od siebie oddzieleni podwójną powłoką!

- Jak sądzisz, czy Tamara Ryerson będzie obecna? - zapytałem bardziej z chęci nawiązania rozmowy niż z ciekawości.

- Kto? Ach, tak, wdowa po Davidzie Ryersonie - odrzekła Rero, Widzieliśmy ją raz tylko, podczas ceremonii powitalnej, w której uczestniczył również Terangi Maclaren. Było to na samym początku naszej wizyty i zresztą nie trafiła się wówczas okazja, by porozmawiać z którymkolwiek z nich. To niewątpliwie jakiś omen, bo czyż od tamtej pory zdarzyło się nam w pełni złączyć z kimś umysły i szczerze się porozumieć? - Nie sądzę - powiedziała moja małżonka i umilkła na chwilę. - Choć właściwie, skoro o tym mowa, możemy spróbować później ją odszukać. Czym jest dla niej wdowieństwo? To może dać nam klucz do psychiki tych istot.

- Wątpię, by jeden przykład wystarczył - odparłem. - Ale właściwie... mmm... jeden przykład to lepiej niż żaden. Może Vincent Indigo nam to załatwi. - W

drzwiach pojawiła się niewysoka ludzka postać w jasnych szatach. - O Złym Oku mowa...

Użyłem tego przysłowia wyłącznie jako przenośni: przydzielony nam przez Cytadelę przewodnik, pośrednik, aranżer i, ogólnie rzecz biorąc, źródło informacji, niezmordowanie służył nam pomocą. Co prawda, wkrótce zaczęliśmy odnosić wrażenie, że pospiesznie przerzuca się nas z miejsca na miejsce, od jednego wydarzenia do innego, nie dając ani chwili czasu na bliższe zapoznanie się z ludźmi czy otoczeniem. Ale kiedy poskarżyliśmy mu się na to...

- Witajcie, panie Voahu i pani Rero - powiedział z gestem pozdrowienia. - Przepraszam, że się spóźniłem. Jeśli mamy zabrać was stąd w tajemnicy, nikt nie może zobaczyć, jak odchodzicie. Kręcił się tu jakiś oficer straży i musiałem poczekać, aż sobie pójdzie.

Nasze struny głosowe nie mogły zbyt dobrze imitować dźwięków jego mowy, ale słowa przechodziły przez minikomputer do syntezy, który to poprawiał. Podziwiałem to urządzenie. Pomimo o wiele częstszych kontaktów z przedstawicielami innych ras rozumnych my, Arvelanie, nigdy nie wynaleźliśmy czegoś równie dobrego do tych celów. Z drugiej strony przedstawiciele ludzi w naszej grupie badawczej wyrażali olbrzymie zainteresowanie naszą techniką budowlaną. Ile mogłyby nasze dwie rasy osiągnąć wspólnie, gdyby się na to odważyły?...

- A więc zgoda, na wyspie Taiwan? - zapytałem. Vincent Indigo skinął głową.

- Tak, Maclarenowie oczekują was. Będzie tam ciemno, a wokół domu rozciągają się rozległe pagórkowate tereny. Możemy was tam zostawić i znów wylądować, a nikt nic nie zauważy. Chodźmy, nie ma co zwlekać. - Gdy szliśmy za nim po bruku, nie mogłem się powstrzymać od rozdrażnienia. Ten świat był tak przepelniony zagadkami, tajemnicami duszy bardziej niż natury.

- Jak długo możemy tam pozostać? Nie miałeś co do tego pewności.

- Nie, ponieważ zależało to od tego, jak mi się uda wszystko załatwić. Chodziło o to, aby ułatwić wam zupełnie swobodną rozmowę, bez oficjeli, natrętów, dziennikarzy. A tajemnicy należy dochować i później, inaczej cała sprawa będzie od początku na nic, prawda? Gdybyście wiedzieli, że później będą was o wszystko wypytywać, cały czas odczuwalibyście ciężar psychiczny, choćby nawet owe pytania byłyby zadawane w jak najlepszych intencjach. Voahu, mój przyjacielu, stanowicie znakomitość pierwszej wielkości i nic się na to nie poradzi.

Aby zrozumieć dręczące nas problemy, wystarczy zastanowić się nad tymi kilkoma zdaniem Indiga. Ledwie potrafię przetłumaczyć kluczowe terminy; zwróćcie uwagę, jakich archaicznych i obcych terminów używam z braku lepszych odpowiedników.

Oficjele: Nie rodzice, nie starsi plemienia, nie Rzecznicy Przymierza lub też wykonawcy ich rozkazów - nie, są to urzędnicy owej ogromnej, bezkrwistej organizacji zwanej rządem, która rości sobie prawo do zabijania wszystkich sprzeciwiających się woli swych zwierzchników. Natręci: Bez uzasadnienia wynikającego z pokrewieństwa, obyczaju czy nagłej potrzeby pewni ludzie namiętnie wtrącają się nie w swoje sprawy. Dziennikarze: Zawodowi zbieracze i szerzyciele informacji, nie znający granic dla swej działalności poza tymi, które narzuca rząd; czyż zresztą to właśnie ograniczenie nie jest samo w sobie

dziwaczne? Znakomitość: Jeśli to, co napisałem powyżej, może prezentować Ziemię jako istoty odrażające, chciałbym wszakże zwrócić uwagę, że dysponują oni cudowną zdolnością okazywania podziwu, szacunku, owszem, nawet swego rodzaju miłości do osób, których nigdy nie spotkali i z którymi nie są w żaden sposób spokrewnieni.

Pomijam już fakt, że Indigo zwrócił się tylko do mnie, pomijając Rero. Mogło to wynikać ze szczególnych właściwości jego języka, skoro ja zwróciłem się do niego pierwszy.

- Wydaje się, że dwadzieścia cztery godziny to rozsądny okres - powiedział; tyle właśnie trwa okres obrotu jego planety, nieco dłużej niż w przypadku Arvela.

- Widzicie, Protektor wygłasza jutro ważne przemówienie i uwaga wszystkich będzie skupiona na nim, a nie na was.

- Rzeczywiście? - spytała Rero. - Czyż więc nie powinniśmy przyłączyć się do słuchających waszego... waszego przywódcy?

- Jeśli chcecie. - Indigo wzruszył ramionami, zupełnie tak samo, jak robią to na Arvelu. - Wiadomo mi jednak, że wystąpienie będzie dotyczyło spraw wewnętrznych: ustabilizowania waluty, niepokoju etnicznych, nastrojów rewolucyjnych na pewnych skolonizowanych planetach oraz tego, jak je powinniśmy uśmierzyć... Myślę, że żadna z tych spraw was osobiście nie dotyczy.

- Sama nie wiem, co ja powinnam myśleć - wyrzuciła z siebie i umilkła. To, co usłyszeliśmy, znajdowało się gdzieś na granicy naszej zdolności pojmowania, ale nie w pełni uchwytnie - jakby pieśń usłyszana we śnie. Czy uda się nam na tyle zrozumieć te istoty, aby móc w pełni im zaufać?

Indigo poprowadził nas w dół schodami wykutymi w skale, na niższy poziom, gdzie znajdował się hangar z otwartymi teraz drzwiami. Pomimo niższej grawitacji z zadowoleniem przyjąłem koniec marszu. Ciężył mi aparat do cyrkulacji wody, który miałem na plecach. Ludzie przybywający na Arvela mają pod tym względem nad nami przewagę: potrzeba im mniej urządzeń regulacji biologicznej. Utrzymanie się przy życiu zależy bardziej od zachowania przez nich pewnego zakresu temperatury, a nie od powodowania różnic temperatury, jak u nas.

Weszliśmy do czekającego na nas pojazdu w kształcie grotu włócznie i rozsiedliśmy się na specjalnie dla nas przygotowanych fotelach. Człowiek z obsługi podłączył nasze skafandry do dwóch pełnozakresowych zespołów biostatycznych znajdujących się z tyłu kabiny, tym samym znakomicie powiększając naszą wygodę.

- Odprężcie się, przyjaciele - namawiał Indigo. - To jest odrzutowiec suborbitalny; będziemy na Taiwanie za godzinę.

- Jesteś dla nas bardzo uprzejmy - powiedziała Rero. Chłodna i spokojna, swoją wdzięcznością objęła również i mnie.

Ptasia twarz człowieka skrzywiła się w tym, co on nazywał uśmiechem, stanowiącym jeden z ważniejszych elementów ich prymitywnej mowy ciała.

- Nie, pani - odrzekł. - Płacę mi za to, że wam pomagam.

- Ale czy to nie jest... nielegalne, to chyba właściwe słowo? Czy sam nie narazasz się na kłopoty, gdyby twoi przełożeni mieli cię później obwinić o nierozsądne postępowanie?

Linie włosów rosnących nad jego oczami zbliżyły się do siebie.

- Tylko jeśli coś się nie uda, a oni się dowiedzą. Przyznaję, że coś takiego mogłoby się zdarzyć, choć uważam to za mało prawdopodobne. Jak już próbowałem wam to wytłumaczyć, mamy na Ziemi elementy antyspołeczne: przestępców, fanatyków politycznych czy religijnych, szaleńców. Oni mogliby wziąć was na cel. Dlatego też Cytadela dała wam silną ochronę i wyznaczyła ścisły plan zajęć. Ale ponieważ ta wyprawa odbyła się w tajemnicy, nie powinno nam nic zagrażać; zresztą chciałbym wam dogodzić we wszystkim, co tylko możliwe.

Odrzutowiec potoczył się i łatwo uniósł w powietrze, jak podczas jakiegoś zwykłego lotu. Dopiero w stratosferze ujawnił swą całą potęgę. Ukazały się gwiazdy; iluminatory wypełnił ogrom wielobarwnej planety. Pędziliśmy ponad kontynentem większym niż którykolwiek z lądów Arvela do chwili, gdy poczęliśmy opadać ku oblewającemu go od wschodu oceanowi. W kabinie panowała cisza. Indigo nerwowo palił jedną dymiącą pałeczkę po drugiej, obsługujący oglądali program w telewizji, członkowie załogi znajdowali się w innym pomieszczeniu. Nie miałem powodów do napięcia, ale czułem, jak serca mi łomocą, i spostrzegłem, że Rero czuje się podobnie. W tym minimalnym stopniu, na jaki pozwalają tylko wzrok i dotyk, spędziliśmy większą część podróży kochając się.

Nad wyspą była wczesna noc; pojedynczy księżyc planety, w pełni, dopiero wznosił się nad horyzont. Dom Maclarenów stał samotnie, tak samo na szczycie góry, pokrytej jednak lasem i ogrodami do samego wierzchołka. Samolot nasz wylądował ślizgiem, prawdopodobnie nie zauważony, jeśli nie liczyć jednego czy dwóch komputerów kontroli ruchu lotniczego. Z braku odpowiedniego lądowiska o wymaganych wymiarach usiedliśmy na prostym odcinku drogi, po której o tej porze nie poruszały się żadne pojazdy. Podziwiałem talent pilota. Jeszcze bardziej podziwiałem Indiga za jego umiejętność zdobywania informacji i załatwiania spraw. Dokonanie tego wszystkiego w sytuacji, gdy wokoło było pełno szpiegów Protektora, wydało mi się graniczące z cudem.

Samolot zatrzymał się przy bocznej drodze, który prowadziła gdzieś do góry. Nasz towarzysz wyjrzał przez okno.

- On już jest i czeka - powiedział. - Wychodźcie szybko, nim ktoś nadejdzie. Musimy stąd zmykać. Wrócę po was jutro o tej samej porze.

Jeszcze zanim skończył, odłączyliśmy się od kabinowych biostatów i uruchomiliśmy urządzenia w skafandrach. Wystarczą nam na cały spędzony tu okres, aczkolwiek na niewiele dłużej. Za żywność posłuży nam suchy prowiant wsuwany przez zawór w hełmie; pić będziemy wodę z rurek, produkty wydalania przejmie aspirator, odpoczynek będzie utrudniony, a obcowanie płciowe - zredukowane do zera. Jednakże jeśli uda się nam zyskać możliwość szczerzej rozmowy, będzie to warte wszelkich wyrzeczeń.

Posuwaliśmy się skwapliwie do góry, aż tańczyły nasze emanacje. Samolot natychmiast pokolował naprzód i zniknął za zakrętem. Po chwili usłyszeliśmy grzmot i dostrzegliśmy, jak się unosi nad stokiem góry, niczym wzlatający meteor.

Terangi Maciaren stał niczym cień w prawie zupełnym mroku, jeśli nie liczyć jego własnej, ciemnej radiacji.

- Witajcie - odezwał się i na krótką chwilę uściśnął nas przez rękawice. - Musimy iść pieszo; ta wasza aparatura nie zmieści się do mojego samochodu. Proszę za mną.

Uznałem, że jest tak lakoniczny, ponieważ on też chce jak najszybciej nas ukryć przed wzrokiem osób niepożądanych. Rosnące po obu stronach drzewa zmieniły podjazd w mroczny przesmyk. Włączyliśmy nasze latarki.

- Nie możecie się bez nich obejść? - zapytał Maclaren. - Takiego białoniebieskiego światła nikt tu nie używa. Rero i ja zgasiliśmy lampy.

- Może złączymy ręce i nas poprowadzisz - zaproponowała. Kiedy to uczyniliśmy, zapytała: - Czy istotnie obawiasz się o to, że ktoś nas może dostrzec? Czyżbyś nie miał prawa odmówić poszukiwaczom ciekawostek dostępu do twego... - szukała odpowiedniego słowa. Na Ziemi nie ma, zdaje się, pojęcia własności rodowej. - Twej posiadłości?

- Tak, lecz plotka mogłaby dotrzeć do niewłaściwych uszu - wyjaśnił. - To by spowodowało kłopoty.

- Jakiego rodzaju? Chyba nie postępujesz... bezprawnie?... przyjmując nas?

- Formalnie rzecz biorąc nie. - Wydawało mi się, że na tyle już potrafię rozpoznać odcienie tonu ludzkiej mowy, by zauważyć gorycz w jego słowach. - Ale Cytadela potrafi uprzykrzyć życie. Na przykład pamiętacie chyba, że jestem astrofizykiem. Obecnie prowadzę szczegółowe badania dostępnych nam gwiazd. Są to bardzo kosztowne badania. Jakiś urzędas, szantażując obciążeniem funduszy, mógłby spowodować, że mnie zwolnią. Mam, co prawda, własne środki utrzymania, ale jestem już za stary na playboya.

Odgłos kroków na nawierzchni drogi rozlegał się donośnym echem ponad szumem liści poruszanych morską bryzą. Mozolnie parłem pod górę, uginając się pod ciężarem aparatury, samotny wśród własnych tylko zapachów i nikogo innego. Ziemską noc wciskała mi się do wnętrza skafandra.

- Oczywiście - po chwili podjął Maclaren - może i kręcę bicz na własny grzbiet. To nie tajemnica, że jestem zdecydowanym zwolennikiem bliskich stosunków z Arvelem. Do tej pory nie powodowało to wobec mnie żadnych szykan... choć też i nie ułatwiało życia. Moja prywatna konwersacja z wami nie musi koniecznie zaniepokoić Protektora i jego lojalistów. Może nawet zachęcić te osoby w rządzie, które się ze mną zgadzają. Po prostu nie wiem tego. Dlatego lepiej będzie zachować ostrożność.

- Poza tym - dodał - są jednostki, a nawet całe grupy osób, którym nienawistna jest myśl o przymierzu z wami. Gdyby wiedzieli, że jesteście tu bez ochrony, mogliby poważić się na coś gwałtownego. To samo sugerował Indigo. Rero i ja nie rozumieliśmy.

- Dlaczego? - rzuciłem pytanie w mrok. - Owszem, rozumiem, że wielu będzie wobec nas zachowywać ostrożność, bo stanowimy czynnik nieznan. Podobnie jest na Arvelu. Szczerze mówiąc, panie, oboje przybyliśmy tu, mając nadzieję, że dowiemy się czegoś więcej o waszym rodzaju.

- A wcale nam tego nie ułatwiono - włączyła się Rero. - Doszliśmy do przekonania, że celowo się nas pogania i przytłacza zajęciami, abyśmy powrócili do domu nadal pogrążeni w nieświadomości... lub pełni podejrzeń.

- Terangi Maclarenie - powiedziałem - mówisz tak, jakby w grę wchodziło coś więcej niż przesadna ostrożność. Stwarzasz wrażenie, że pewni ludzie chcą celowo odizolować od nas ludzkie społeczeństwo.

- Właśnie takie wrażenie chciałem stworzyć - odparł. Przez rękawicę odczułem, jak uścisk jego dłoni się wzmocnił. Odpowiedziałem mu tym samym, a Rero w tym współuczestniczyła.

- Nie jestem pewien, czy zdołam wszystko wyjaśnić - zaczął ostrożnie Maclaren. - Wasze instytucje są tak całkowicie odmienne od naszych... wasze przekonania, wasz pogląd na wszechświat i życie w nim, wszystko... No, to tylko część problemu. Weźmy, na przykład, Raport Hiroyamy. Słyszeliście o nim? Hiroyama próbowała ustalić, jakie są wasze główne wyznania religijne. Jej książka wywołała sensację. Jeśli silna, naukowo ukierunkowana kultura potrafi utrzymywać, że Bóg jest miłością... miłością, której najważniejszym elementem jest seks, no to stoi to w jaskrawej sprzeczności z poglądami najstarszych ziemskich religii ortodoksyjnych. Pojawiają się więc herezje wymuszające natychmiast stosowne reakcje. Och, Hiroyama oczywiście wspomniała, że Arvelanie praktykują monogamię i wierność; tak się jej przynajmniej wydawało. Pewności mieć nie mogła, ponieważ kontaktujący się z nią przedstawiciele waszej rasy nigdy nie określali tych cech jako norm moralnych. Stąd też wyznawcy nowych kultów - a przynajmniej większość z nich - praktykują orgie i wolną miłość.

Choć już wcześniej miewaliśmy do czynienia z osobliwymi praktykami seksualnymi wśród innych ras, tym niemniej w głosie Rero słysząc było zdumienie:

- My się wiążemy na całe życie... bo co innego moglibyśmy robić?

- To teraz nieważne - odparł ponuro Maclaren. - Chciałem tylko dać jeden przykład dowodzący, że pewne ugrupowania na Ziemi chciałyby na zawsze przerwać kontakty z Arvelem. A co za tym idzie, z wszelkimi innymi wysoko rozwiniętymi cywilizacjami, na jakie jeszcze przyjdzie nam natrafić. Z praktycznego punktu widzenia ważne jest to, czy Protektor obawia się przymierza. Jego zwolennicy właśnie się tego obawiają.

Widzicie, Cytadela boryka się z zadaniem prawie niemożliwym do wykonania: musi utrzymywać kontrolę nad rasą ludzką, a w tym nad osadnikami na planetach skolonizowanych, oraz nad społeczeństwami, jakie powstają na tych planetach. Zniechęcenie, działalność wywrotowa, powtarzające się próby buntu... Czy to ma znaczyć, że wam nie trafiają się takie problemy?

- A dlaczego miałyby się zdarzać? - zapytałem zdumiony. Czy to, co dostrzegłem w nikłym blasku jego radiacji, było skinieniem głowy?

- Nie dziwię się zbyt, Voah i Rero. - (Przynajmniej na tyle znał nasze obyczaje. Rozkwitł we mnie maleńki promyk nadziei). - Ponieważ nie macie niczego, co my używamy za właściwy rząd, obce są też wam wynikające z tego kłopoty i wydatki. Oczywiście pod względem zachowania różnimy się zasadniczo; to co dla was jest dobre, nam by z pewnością nie posłużyło. A i tak znalazło się już paru mędrków, którzy zastanawiają się głośno i na łamach prasy, czy naprawdę potrzebujemy władzy, która tak nam ciąży, jak właśnie Cytadela. W wyniku

rozwoju bliskich stosunków z wami następne pokolenie może równie dobrze dojść do wniosku, że Cytadela jest nam w ogóle zbyteczna.

Poza tym samo podwojenie udostępnionej nam przestrzeni, liczby planet, jakie możemy zająć, spowoduje, że wkrótce w ogóle niemożliwe będzie istnienie jakiegokolwiek rządu centralnego. Wybuchniemy w tysiącach kierunków i Bóg jeden potrafi odgadnąć, jakie będą tego ostateczne konsekwencje. Jedno wszak jest pewne: oznaczać to będzie koniec Protektoratu.

Och, nasz obecny władca zapewne dożyje do końca swego panowania. Jego syn, następca... może tak, może nie. Wnuk - na pewno nie. A Protektor nie jest głupi. Wie o tym.

Jednocześnie jednak Dynastia nadal może liczyć na potężne, lojalne wobec niej siły. Wiele osób obawia się jakichkolwiek zmian - i nie jest to całkiem bez sensu. Zbyt wiele postawili na istniejący porządek rzeczy i chcieliby to wszystko przekazać swoim dzieciom.

Inni... hm, oni odczuwają to bardziej emocjonalnie, w szpiku kości, a zatem silniej i groźniej. Nie wiem, czy potraficie sobie wyobrazić, Rero i Voah, jak mocno Dynastia trzyma w garści człowieka, którego ród służy jej już od trzystu lat. A jakie są wasze przekonania?

Nawet nie próbowaliśmy odpowiadać na to pytanie. Sama myśl wywołała we mnie lekki wstrząs: oto prawdopodobnie ja również żyję uwikłany w zobowiązania tak głęboko ukryte, iż potrafią one przeważać nad zdrowym rozsądkiem. Słyszałem pytanie Rero:

- Ty sam otworzyłyś szeroko wrota kontaktu między naszymi rasami, prawda, Terangi Maclarenie? I z pewnością jest wielu tobie podobnych.

- Tak jest - odrzekł. - We władzach i poza nimi istnieje silne poparcie dla kontynuowania kontaktów. Czujemy się jak na wpół uduszeni i chcemy wpuścić trochę świeżego powietrza, które każdy by poczuł... O, tak, to delikatna równowaga sił czy też wielostronna walka polityczna, albo jakakolwiek inna metafora, która nam odpowiada. Szczerze ufam, że zarówno Arvelanom, jak i Ziemiom dawno już przydałoby się prawdziwie empatyczne wczucie się w sytuację drugiej strony. To powinno usunąć wszelką podejrzliwość, dodać sił zwolennikom swobody. - Jego głos, dotąd stłumiony, zabrzmiał donośniej. - Jakże jestem rad, że przybyliście do mnie.

Podjazd wyprowadził nas na kawałek płaskiego terenu, lasy ustąpiły otwartej przestrzeni - i znów znaleźliśmy się w świetle. Maclarenowi, który lepiej widział w ciemnościach, widok musiał wydawać się wspaniały, skoro nawet ja uznałem go za prześliczny. Po naszej prawej stronie góra wznosiła się jeszcze wyżej, po lewej zaś opadała nagle w dół, w zmrozoną cienistość, gdzieniegdzie przetykaną żółtymi prostokątami okien domów. Daleko, na wybrzeżu, jakaś wioska mieniła się niezliczonymi barwami. Dalej rozciągał się ocean, niczym żywy obsydian opasany księżycowym mostem. Na niebie migotała galaktyka, tam zaś, gdzie jej nie było, znajdowały się pojedyncze gwiazdy, wszystkie będące słońcami.

Maclaren poprowadził nas wśród grządek, a następnie, po szerokim trawniku, do swego domu. Był on niski i nieskładny, o wysoko wzniesionym dachu; zbudowano go głównie z drewna, według wzoru, który, jak mi się wydawało, w tych stronach był zapewne przeżytkiem. Żałowałem bardzo, że nie

mogę go smakować nie przytłumionymi zmysłami. Werandę domu oświetlała latarnia; gdy weszliśmy na schody, otworzyły się główne drzwi domu. W blasku ciepła wylewającego się z wnętrza domu stanęła kobieta.

Poznaliśmy ją od razu. Maclaren nie był tego pewny, powiedział więc:

- Pamiętacie chyba moją żonę, uczestniczącą w programie powitalnym na waszą cześć? Tamara.

W mgnieniu jasności i cienia przebiegającym po skórze Rero dostrzegłem odbicie własnego szoku. Nawet biorąc pod uwagę, że wówczas byliśmy świeżo po przylocie na Ziemię, jednak nawet i później nie spotkaliśmy się z żadną wzmianką o bliskich stosunkach między Tamarą i Maclarenem. Jego żona? Ale to przecież wdowa po Davidzie Ryersonie!

Dawno już znajdowaliśmy się wewnątrz domu, gdy moje podniecenie opadło na tyle, bym zdołał dostrzec, że Maclaren je zauważył. Być może Tamara również je zauważyła. Niezwykle łagodnie skłoniła głowę poniżej złożonych dłoni i szepnęła:

- Bądźcie pozdrowieni, dostojni goście. Żałujemy bardzo, że nie jesteśmy w stanie was niczym poczęstować. Czy w jakiś sposób możemy zaspokoić wasze potrzeby lub dostarczyć wygod?

Zwróciłem uwagę, że siedzenia dostosowano odpowiednio do naszych skafandrów. Pokój był długi i przyjemnie urządzone. Obce środowisko nie wpływa na poczucie harmonijności proporcji; wzory stworzone przez słoje w drewnie podłogi, odcienie i faktury mat roślinnych były nieznajome, lecz miłe oku; w kryształowym pękatym wazonie na stole znajdował się kamień i kwiat, poniżej dostrzegłem zwój rękopisu, którego treści nie musiałem rozumieć, by uznać kunszt kaligrafa; półki pełne książek tchnęły obietnicą, okna ukazywały spowitą mrokiem ziemię, morze i kosmos. Odtwarzacz muzyczny wybijał nuty utworu, który podobał się nam kiedyś, czego świadkiem byli ludzie wchodzący w skład komisji; owa forma muzyczna nazywa się raga. Palila się laseczka kadzidła, ale oczywiście jedynym zapachem, jaki do mnie dochodził, była mnogość kwaśnych woni mego własnego otulonego skafandrem ciała.

- Jesteście bardzo uprzejmi - odparła Rero. - Ale czy to nie zbyt oficjalne powitanie? Voah i ja przybyliśmy tu, mając nadzieję na... na uzyskanie bliskiego porozumienia.

- Proszę więc, usiądźcie - zachęcił nas Maclaren. On sam i Tamara poczekali, aż się usadowiliśmy wygodnie. Tamara pochyliła się naprzód w swym fotelu, splótłszy ręce na kolanach. Ubrana była w długą spódnicę i skromną bluzkę; skóra barwy złotobrazowej, a cała postać w jakiś niezbyt jasny dla nas sposób sprawiała przyjemność naszym oczom. Oprawne w falujące granatowoczarne włosy, jej oczy przypominały jarzącą się ciemność z zewnątrz. Maclaren był wysoki jak na Ziemianina; gdy stał, siedząca Rero sięgała mu do połowy piersi, podczas gdy jego głowa znajdowała się tuż pod moją. Usiadłszy przybrał postawę równie swobodną jak jego workowaty strój; odchylił się w fotelu zakładając nogę na nogę - ale nie spuszczał z nas wzroku, a na jego twarzy dostrzegłem powagę.

- Co mieliście na myśli, Rero i Voah? - zaczął. Milczeliśmy przez chwilę; potem wydałem z siebie tryl śmiechu i przyznałem:

- Zastanawiamy się, jakie pytania zadać i w jaki sposób. Tamara potwierdziła mój domysł co do jej spostrzegawczości, gdy zapytała:

- Co was tak zdziwiło na werandzie?

Znowu musieliśmy chwilę pomyśleć. W końcu Rero odezwała się:

- Nie chcemy nikogo obrazić. McLaren pomachał ręką.

- Umówmy się, że nikt nie ma zamiaru nikogo obrażać - zaproponował. - Nam też się czasem może coś wyrwać, co wam nie przypadnie do gustu. Zwróćcie nam wtedy uwagę, wszyscy się wtedy zastanowimy nad powodem możliwej obrazy i może zyskamy w ten sposób jakieś informacje.

- No więc... - Mimo wszystko Rero musiała zebrać się na odwagę. - Nadal nosisz nazwisko Tamara Ryerson? Jesteś żoną Terangiego Maclarena?

- Owszem, od ośmiu lat - odpowiedziała kobieta. - Nie wiedzieliście o tym?

Próbowałem wyjaśnić, że wiadomość ta, ze względu na swą obcość, uszła naszej uwagi. Z kolei zdumiała się Tamara.

- Czyż to nie wydaje się wam naturalne? - wykrzyknęła. - Terangi i David byli przyjaciółmi, partnerami z jednej załogi. Kiedy Terangi powrócił, zastał mnie samą z dzieckiem i pomagał mi... najpierw przez wzgląd na Davida, potem... Czy uważacie to za niewłaściwe?

- Nie - odrzekłem pośpiesznie. - My, Arvelanie, również różnimy się pod względem obyczajów i przekonań, w zależności od tego, z jakiej kultury pochodzimy.

- Aczkolwiek - dodała Rero - nikt z naszej rasy nie zawarłby ponownego związku małżeńskiego... tak szybko, według mnie. Młody osobnik, który owdowiał, może ponownie zdecydować się na małżeństwo, ale po wielu latach.

- A co ze starszymi? - zapytała cicho Tamara.

- Zazwyczaj prowadzą życie aseksualne... pozostają w celibacie, o ile dobrze sobie przyswoiłem ten wasz zwrot - odparłem. Obawiając się, że może to uznać za zbyt okrutne, dodałem: - Uznawano to za honorowy stan we wszystkich krajach i epokach. W środowiskach cywilizowanych utworzono instytucje... wy nazwalibyście je chyba lożami... w których wdowcy zyskują właściwe miejsce, nową przynależność.

- Dlaczego jednak nie mogą zawierać nowych związków?

- Niewiele społeczeństw w istocie zakazało powtórnych małżeństw osobnikom w jakimkolwiek wieku. Po prostu mało kto ma na to ochotę, przeżywszy wiele lat ze swym pierwszym partnerem.

McLaren zachichotał.

- A mimo to, o ile mam prawo o tym sądzić - zauważył - wy, Arvelanie, o wiele częściej niż my praktykujecie "te rzeczy", co samo w sobie stanowi osiągnięcie.

Wymieniłem z Rero spojrzenia, uścisk dłoni, sygnał seksualny.

- Co więc stanowi przyczynę? - zastanawiała się Tamara. - Smutek?

- Nie, smutek mija, czas leczy rany... o ile dobrze zapamiętałem to powiedzenie - odrzekłem, nie mając jednak pewności co do mej pamięci (później wątpliwości te miały wzrosnąć; czyż istotnie ich żałoba podobna jest do naszej?) - Pomyślcie jednak, proszę: oto właśnie dlatego, iż ów związek jest tak bliski, nastąpiła integracja osobowości. Ponowne małżeństwo wymagałoby zmiany całego charakteru, jaki ukształtował się u omawianej osoby we wczesnej

dojrzałości, po pierwszym ślubie. Niewielu jest takich, którzy zgodzą się na całkowitą przemianę siebie samych. A spośród tych, którzy by się zgodzili, niewielu ma odwagę to uczynić.

Wyczuwając rozterkę Tamary, Rero przemówiła swoim najbardziej naukowym tonem:

- Dawno już było wiadomo, że wśród Arvelan dymorfizm płciowy jest znacznie większy niż wśród Ziemiaków. W waszym przypadku kobieta zarówno nosi w sobie dziecko do momentu rozwiązania, jak i opiekuje się nim później. U nas jest inaczej: samica nosi płód przez znacznie krótszy czas, a po porodzie przekazuje go samcowi, który umieszcza go w swej torbie. Tam znajduje on schronienie i ciepło do chwili, gdy jest już na tyle dojrzały, by opuścić torbę. Niemniej jednak pożywienie pobiera od matki w postaci wydzieliny specjalnych gruczołów - wy ją nazywacie mlekiem, prawda? Oznacza to, że samiec musi być zawsze blisko samicy, by móc przekazać jej dziecko na czas karmienia. Oznacza to także, że musi on być duży i silny, co, z ewolucyjnego punktu widzenia, pozwala samicy mieć ciało drobniejsze, lecz zwinne. Nasi przodkowie z okresu przed rozumnego polowali w zespołach samiec-samica; podobnie zresztą późniejsi dzicy w czasach już historycznych. Cywilizacja nie przyniosła zmiany w tym podstawowym układzie partnerskim; pracę przeważnie tak organizowano, by mogły ją wykonywać pary partnerskie. Wzajemna zależność samców i samic wykracza poza sferę fizyczną, sięgając w głąb psychiki. U naszych ludów prymitywnych owdowiały partner zazwyczaj dokonywał żywota w samotności i smutku. Rozwijające się nauki społeczne w znacznym stopniu podkreślały rolę pozostałego przy życiu małżonka.

- Och, tak, Tamara wie o tym. - Czyżby w głosie Maclarena slychać było urazę, tak jakby obrażono jego żonę? - Oboje znamy sprawozdania naszych zespołów badawczych.

- Chwileczkę, kochanie - palce Tamary dotknęły jego dłoni.

- Zdaje mi się, że Rero... Rero i Voah próbują nam przekazać to uczucie. - Jej wzrok spotkał się z naszym. - Może my moglibyśmy wam przekazać, jak my to czujemy. Może stanie się to częścią tej wiedzy, jakiej tu szukacie.

Wstała z miejsca, podeszła do siedzącej Rero i uścisnęła ją za ramię. Natychmiast się zreflektowała i powtórzyła ten sam gest w odniesieniu do mnie. - Czy chcielibyście zahaczyć nasze dzieci? - zapytała. - Najstarsze jest moje i Davida; dwoje młodszych to dzieci Terangiego i moje. Czy uwierzycie, że Terangi kocha je jednakowo?

Wezbrała we mnie pamięć o Przybranym synu. Czytałem go jedynie w tłumaczeniu, ale w jakiś niewytłumaczalny sposób, poprzez otchłań oceanów i wieków, geniusz Hoiakim i Ranu znalazł drogę do mnie. Wydaje mi się, że poprzez ich wiersze wiem, co to znaczy mieszkać w krainie, gdzie opiekowanie się nie swoim dzieckiem, czy choćby włożenie go do torby jest nie tylko poświęceniem i ofiarnością w najwyższym stopniu, ale stanowi również przekroczenie tabu. Możliwe też, że stąd właśnie mam pewne pojęcie, jak głęboka może być troska o potomstwo.

Tylko... czy o to właśnie jej chodzi? - pomyślałem.

- Szkoda, że nie możecie ich przytulić - odezwała się Tamara. - Zresztą i tak teraz śpią. Jutro zapoznacie się z nimi w bardziej odpowiedni sposób. Cóż to będzie dla nich za niespodzianka!

Włączyła skaner, który ukazał nam wnętrze pokoi dzieci. Byłem wzruszony i zafascynowany: puciołowatą twarzą najmłodszego, wydłużającymi się kończynami u najstarszego. Rero więcej uwagi poświęcała dorosłym. Zapytała mnie w naszym języku: - Czy mi się tylko wydaje, czy też dla niego one są mniej ważne od Tamary?

- Nie mam pojęcia - przyznałem się. - Zastanawiam się, jaki będzie ich wzajemny stosunek... całej piątki... gdy dzieci już dorosną.

- A co jest w tym istotne, co wynika z ich kultury?

- Tego nie wiadomo, kochanie. Możliwe, że w nich uczucia rodzicielskie umacniają się od bliskiego kontaktu z potomstwem, a w większości społeczności ludzkich matka ma go więcej niż ojciec...

Ta drobina intymności zdumiewająco łatwo rozładowała istniejące jeszcze między nami napięcie. Skoro nie mogliśmy mieć wspólnych używek, jadła, napojów, zapachów, modlitw, mogliśmy jednak dzielić ze sobą rodzicielstwo. Przez chwilę Tamara ochoczo rozprawiała z Rero i mną o naszych domach. W końcu odezwał się Maclaren.

- Wiecie co? - powiedział. - Podejrzewam, że zbliżamy się do sformułowania pewnych ustaleń, jakich dotąd nawet nie podejrzewano. - Zamilkł na chwilę; widziałem, jak drży. - Oczywiście, oczywiście: zarówno na Ziemi, jak i bez wątplenia na Arvelu toczą się niezliczone dysputy i rozważania. Jak ważny jest czynnik psychoseksualny dla dowolnej rasy inteligentnej? Do tej pory wszelkie dyskusje były suche i abstrakcyjne. Tu zaś, dzisiaj... no, samego problemu jeszcze nie rozwiążemy, ale może uda się nam zrobić pierwsze podejście? Chodzi mi po głowie dość oryginalny pogląd co do tego, w jaki sposób wszystkie wasze instytucje w każdej z waszych kultur wyniknęły z modelu rozrodczego. A może wy byście się pokusili o sformułowanie takiego poglądu w odniesieniu do nas? W ten sposób może zyskalibyśmy odpowiedź na wiele pytań dręczących nas przez całą naszą historię.

Zamyśliłem się nad tym przez chwilę.

- Twoje poglądy, Terangi Mclarenie - powiedziałem w końcu - pozwolą nam lepiej poznać was... nawet jeśli byłby to jedyny z nich pożytek.

Pochylił się naprzód. Gestykułował z przejęciem. W jego głosie słychać było podniecenie:

- U was podstawowa jednostka rodzinna - naprawdę podstawowa - musi być fundamentem wszystkiego, zawsze i wszędzie. Jest to jednostka niepodzielna... a ja byłbym wam niezmiernie wdzięczny, gdybyście wy z kolei mogli podsunąć mi myśl, jaka jest niepodzielna jednostka społeczna u ludzi.

W waszej historii, na ile ją znamy tu, na Ziemi, nigdy nie zjawily się państwa narodowe. Przeważnie klany, które zachowują swą tożsamość przez wiele wieków... tworzące plemiona, które swą tożsamość zachowują już tylko kilka stuleci... ale rodziny przetrwają wszystko. Ich początki sięgają czasów starożytnych.

Więcej parafiańszczyzny niż na Ziemi, postęp tylko na skalę miejscową, niewiele zmian jednocześnie na całej planecie, rzeczy złe i przestarzałe utrzymujące się uporczywie przez długie lata w jakichś zakamarkach. Ale jednocześnie brak nacjonalizmu; różnorodność nie przykrawana po to, by stawała się jednolitością - a choć nic nie przypomina demokracji, brak też wszelkiego absolutyzmu. W końcu wreszcie związek całego gatunku na podstawach swobodnych i pragmatycznych; brak akcji publicznych, nawet w dobrej sprawie, ale nie ma też powszechnych obłędów...

Co do religii... kiedy pojawił się monoteizm. Bóg stał się dwupłciowy - nie, raczej "nadpłciowy", ale płciowy z pewnością. Jednocześnie w życiu codziennym uporządkowane życie płciowe stanowi normę, akceptowaną a priori... i dlatego nie macie potrzeby się troszczyć o jego regulowanie, możecie inwestować w normy moralne odmienne od naszych...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazała się w nich broń.

Trzech mężczyzn, również uzbrojonych, tłoczyło się za automatycznym pistoletem przywódcy grupy. Wszyscy ubrani byli w nieokreślonego kroju kombinezony z kapturami, które zakrywały im twarze. Za nimi dostrzegłem zaparkowany na trawniku niewielki autolot w kształcie kropli. Zajęci rozmową nie usłyszeliśmy jego przylotu ani w ogóle niczego poza nocnym wiatrem.

Zerwaliśmy się wszyscy na nogi.

- Co jest, do cholery! - wyrwało się Maclarenowi.

- Vincent Indigo! - wykrzyknęliśmy Rero i ja. Zaskoczyło go, że go rozpoznaliśmy. Szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą, przeciął ramieniem powietrze i warknął:

- Cisza! Ani mru-mru. Zastrzelimy pierwszego, co podskoczy. - Chwila milczenia. - Jak będziecie grzeczni, nikomu się nic nie stanie. A jak nie, to zajmujemy się i dzieciakami.

Tamara wydała okrzyk i przywarła do męża, który otoczył ją ramieniem. Rero i ja przekazaliśmy sobie tęskne spojrzenie: my nie mogliśmy się dotknąć.

- Zabieramy Arvelan - oświadczył Indigo. - To jest porwanie. Rząd powinien zapłacić niezłą sumkę za ich wypuszczenie. Mówię wam to wszystko, żebyście wiedzieli, że nie mamy poza tym złych zamiarów i że będzie lepiej dla was, jeśli zachowacie spokój. Panie i pani Maciaren, unieszkodliwimy wasz telefon i autolot, żebyście nie mogli wszcząć alarmu, dopóki nie znajdziemy się w bezpiecznej odległości. Nie chcemy spowodować żadnych innych szkód i nie zrobimy tego, jeśli pozostaniecie grzecznie na miejscu. Co zaś do was... istot, was też nie chcemy skrzywdzić. W końcu za trupa okupu nikt nie zapłaci, co? Wszystko będzie cacy, jeśli będziecie grzeczni. Jeśli nie... no cóż, kula nie musi być nawet śmiertelna dla was. Wystarczy, że zrobi małą dziurkę w skafandrze. Cicho, mówię! - ryknął zauważywszy poruszanie warg Maclarena. - Do roboty! - To już było do jego współników.

Mruknęli na znak zgody. Jeden zajął się telefonem; mało, że przeciął kabel, to jeszcze postanowił strzelić w ekran. Syk strzału, brzęk pękającego szkła zabrzmiały głośniejsz, niż powinny. Napastnik sprawdził skanerem, że dzieci się nie obudziły, po czym przyłączył się do Indiga, który nas pilnował. Jednocześnie ich kompani zniknęli we wnętrzu garażu, najwyraźniej po to, by wykonać swoją

część dzieła zniszczenia. Zauważyłem narzędzia, które mieli przytroczone do pasów. Była to starannie zaplanowana operacja.

Ośłupienie mnie opuściło; pojawił się gniew. Vincent Indigo! Pozostała trójka to nikt ze znanych nam osób: musiał zostawić swój pojazd służbowy na najbliższym lądowisku, by tam czekał na niego do rana, po czym sam spotkał się z nimi... Czy zawsze był przestępcą, który podstępem wkradł się do służby publicznej, czy też postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji?

Nieważne. On się ośmielił zagrozić Rero!

Gdzieś pod warstwą gniewu logicznie rozumująca część mego umysłu nie mogła tego pojąć. Jego działania są bez sensu. Przypuszcza zapewne, być może słusznie, że jego nazwisko nie zostało zrozumiane przez Maclarenów, gdy je wymówiliśmy. Mimo translatorów i przekazników mowa nasza nie jest zbyt wyraźna. Jednak czy ma prawo przypuszczać, że jego udział w tym wszystkim pozostanie w tajemnicy? Musi nas zwrócić, jeśli chce otrzymać okup, a wtedy go wydamy...

Czy jest szalony, skoro to przeoczył? A jego wspólnicy? Nigdy nie sprawiał wrażenia postępującego irracjonalnie! Ale jak się przedstawia równowaga psychiczna... u człowieka?

Przesunąłem wzrok na Maclarena i jego żonę. W ciągu minionych lat nauczyłem się w niewielkim zakresie odczytywać wyraz twarzy, postawę, nastrój przedstawicieli tej rasy. Strach w znacznym stopniu ich opuścił, skoro okazało się, że nie grozi im żadne bezpośrednie fizyczne niebezpieczeństwo. Maclaren stał zamyślony, ze zmarszczoną twarzą; coraz bardziej ogarniała go zimna furia. Jego żona przyglądała się nam z litością pomieszaną z przerażeniem. Choć pozostawali ze sobą w kontakcie cielesnym, nie na to zwracali uwagę.

Gdyby nam był dany taki kontakt, oczywiście poświęcilibyśmy się mu całkowicie. Mogliśmy jednak tylko dotykać się przez rękawice i wykonywać żalosne znaki skórą.

Dwaj napastnicy wrócili i zameldowali o wykonaniu zadania.

- Świetnie - powiedział Indigo. - Idziemy. Wy - wskazał na swych ludzkich więźniów - zostajecie w domu. Wy - to do nas - wychodźcie.

Czterej porywacze szli ostrożnie, dwóch przed nami, dwóch z tyłu, my zaś poruszaliśmy się między nimi. W kroplach wczesnej rosy odbijało się światło księżyca. Gwiazdy zdawały się nieskończenie odległe. Światła wioski i sąsiadujących domów wyglądały na jeszcze bardziej oddalone. Najodleglejszy zaś wydawał się nam żółty blask padający z domu, z którego przed chwilą wyszliśmy.

Rero próbowała się porozumieć ze mną w naszym języku. Ponieważ Maclarenowie nie mogli już tego słyszeć, Indigo się nie sprzeciwił. Padły pospieszne słowa:

- Kochanie, co, twoim zdaniem, powinniśmy uczynić? Jak możemy im ufać? Chyba są szaleni, jeśli sądzą, że coś takiego ujdzie im płazem.

Tak więc jej myśli szły równoległym torem do moich: zresztą cóż w tym dziwnego. Wybiegłem myślą jeszcze dalej.

- Nie, oni potrafią rozumować w jakiś pokrętny sposób - powiedziałem do Rero. - Inaczej nie mogliby zachować tej dyscyplin) i dokonać wszystkich przygotowań. Może mają gdzieś jakąś bezpieczną kryjówkę, może zamierzają

zmienić tożsamość czy cokolwiek. Ryzyko wciąż wydaje się ogromne... zważywszy, że jesteśmy przedstawicielami całej planety, czyż Cytadela nie podejmie wszelkich wysiłków, aby ich ująć? Cóż my jednak wiemy o wszystkich ziemskich zasadach postępowania? - Ścisnąłem mocno jej palce. - Lepiej zachowajmy spokój i czujność, starajmy się zyskać na czasie. Okup z pewnością zostanie zapłacony. Jeśli nie zrobi tego Protektor, to na pewno ci ludzie, którzy chcą sojuszu z naszą rasą, złożą się na odpowiednią sumę.

Dotarliśmy do autolotu. Umieszczone wysoko drzwi stały otworem.

- Włazić - polecił Indigo. Jego ludzie przysunęli się bliżej. Obciążeni sprzętem, nie mogliśmy się zmieścić w drzwiach kabiny idąc obok siebie. Ja wszedłem pierwszy, wspiąwszy się po krótkiej wysuwanej drabince. Oświetlenie kabiny było niezbyt jasne, lecz wystarczające. Spojrzałem na tył pojazdu i zatrzymałem się w drzwiach.

- Macie tylko jeden biostat! - zaprotestowałem. Serce zaczęło mi łomotać. W głowie dudniło.

- Tak, tak, nie mamy miejsca na dwa - odparł niecierpliwie Indigo. - Które z was będzie chciało, to się do niego podłączy. Drugie wytrzyma w swoim skafandrze, aż dotrzemy do celu. Tam mamy komorę przystosowaną do arvelańskich warunków.

Moje oczy odszukały wzrok Rero. Chociaż jej twarz była ledwie widoczna w świetle księżyca, aura płonęła czerwinią.

- Jeśli to prawda - przemówiła w naszym języku - po co w ogóle brali biostat? Chcą zatrzymać przy życiu tylko jedno z nas. Nie oboje.

- Jako zakładnika. - Mój głos, nagle obcy, dobiegał gdzieś z daleka. - To nie jest porwanie dla pieniędzy.

I opanowała nas wściekłość.

Ja, na myśl o tym, że ja miałbym umrzeć, mnie, na myśl o tym, że ona mogłaby umrzeć, ogarnął płomień gniewu. Możecie to sobie wyobrazić, ale w naszych pokojowych czasach nie doświadczacie już tego.

Nie byliśmy już istotami żyjącymi, lecz staliśmy się maszynami do zabijania. A mimo to nigdy jeszcze dotąd nasza świadomość nie działała równie skutecznie. Miałem wrażenie, że widzę oddzielnie każdą kroplę rosy na każdym źdźble trawy wokół stóp tych, którzy mogli zabić Rero. Widziałem, że skafander i sprzęt ograniczają moje ruchy, ale wiedziałem też, że zwiększają mój ciężar. Wyprężyłem się i skoczyłem.

Koło drabinki stał jeden z napastników. Moje buty wylądowały z trzaskiem na jego czaszce. Upadł pod ciężarem masy mego ciała i potoczyliśmy się na bok. Gdy spostrzegłem, że jego wygięte ciało się nie porusza, podniosłem się niezdarnie i ruszyłem na następnego. Rero walczyła z trzecim; wokół nich tańczył Indigo, który jednak na razie nie wystrzelił, bojąc się trafić swego kompana. Wiedziałem jednak, że wkrótce to uczyni i Rero i ja będziemy martwi.

Martwi razem.

Od strony werandy puściła się biegiem jakaś postać, po trawniku, w naszym kierunku. Kompletnie zaskoczony nie zabiłem tego, którego trzymałem w uścisku. Zdusiłem go tylko do nieprzytomności, patrząc na nadbiegającego.

Maclaren. Maclaren pozostawił swoją żonę i przybiegł nam na pomoc.

Zaskoczył Indiga od tyłu: schwycił go za przegub ręki trzymającej pistolet, ścisnął za gardło, wbił mu kolano w plecy.

Opanowałem się i pospieszyłem Rero na pomoc. Pomimo obciążenia aparatury jej drobna postać poruszała się w przód i w tył wystarczająco szybko, by strzał jej przeciwnika nie sięgnął celu. Tego z naszych wrogów rozdarłem na strzępy.

Księżyc był już wysoko, gdy spokój powrócił do naszych umysłów. Maclarenowie ochłonęli wcześniej: u niego przybrało to formę stanowczości, u niej ni to zaskoczenia, ni to współczucia, gdy nachylaliśmy się nad Indigiem. Siedział skurczony w fotelu, jedyna skaza w tym przepięknym pokoju, i błagał nas o litość.

- Oczywiście, że wezmę twój autolot i sprowadzę policję - oświadczył Maclaren. - Przedtem jednak, na wypadek gdyby Cytadela chciała wyciszyć sprawę, mam zamiar poznać wszystkie fakty. - Przysunął kamerę magnetowidu. - Kilka egzemplarzy tej taśmy przekazanych w odpowiednie miejsca... A więc działałeś z polecenia Protektora, prawda?

Nieszczęśliwe spojrzenie.

- Proszę - szepnął Indigo.

- Mam złamać kilka kości? - zapytałem.

- Nie! - wykrzyknęła Tamara. - Voahu, nie możesz mówić w ten sposób! Jesteś osobą cywilizowaną!

- A on by pozwolił Rero umrzeć, czyż nie? - odparowałem. Moja żona objęła mnie ramieniem. Poprzez skafander poczułem, jak mi się wydawało, uścisk i to samo pożądanie rozpało się w nas obojgu. Kiedyż będziemy je mogli zaspokoić? Słyszałem w jej głosie ten wysiłek, na jaki musiała się zdobyć, by zachować równowagę:

- Lepiej nie przesadzać - powiedziała w naszym języku. - Dwóch ludzi zginęło w walce, to się da usprawiedliwić. Ale jeśli wyrządzimy krzywdę więźniom, nie postawi to nas w najlepszym świetle w ludzkich oczach. Ustąpiłem.

- Słusznie - rzekłem - ale czy on musi o tym wiedzieć? Wola i tak zresztą opuściła Indiga: jego aura stała się niebieska i ciemna. Opuścił wzrok na podłogę i wymamrotał:

- Tak, o to właśnie chodziło. Mieliśmy sprawić, by Arvelanie zerwali negocjacje, stwierdziwszy, że nasza rasa jest zbyt mało odpowiedzialna jak na dobrych sąsiadów. Nie można było tego zrobić oficjalnie, skoro tyłu frajerów nalegało na szybkie zawarcie układu pokojowego. - Maclaren skinął głową.

- I mieliśmy myśleć, że porwania dokonała banda przestępców - powiedział. - Co rzeczywiście miało miejsce: sprawcami byli kryminaliści z Cytadeli, z rządu. Kiedy ta wiadomość się rozejdzie, mam nadzieję zahaczyć ich wszystkich nie tylko pozbawionych urzędu, ale i na ławie oskarżonych.

- Nie! - rozpacz targnęła Indigiem. Uniósł oczy i ręce, i zadrzał. - Nie możesz! Nie Protektora... Dynastię... Boże wszechmogący, Maclaren, nie rozumiesz tego? To właśnie chcieliśmy uratować. Czy pozwolisz, by wszystko obróciło się w gruzy? Czy pozostawisz nas bezbronnych przed tą hordą potworów?

Cisza narastała, aż w końcu Maclaren odezwał się głosem płynącym z głębi piersi:

- Ty rzeczywiście w to wierzysz, prawda?
- On wierzy w to, wierzy - wykrzyknęła Tamara przez łzy. - Och, biedny głupiec! Nie sądź go zbyt surowo, Terangi. On działał powodowany... miłością... czyż nie?

Miłością, dla czegoś takiego? Rero i ja staliśmy, zdjęci wspólną grozą.

- Nie wiem, czy to jest dla niego jakieś usprawiedliwienie - rzekł ponuro Maclaren. - No cóż, mamy jego zeznanie. Niech sąd zdecyduje, co zrobić z nim i resztą. To jest bez znaczenia.

Wyprostował się. Zobaczyłem, jak rozpręza mięsień po mięśni.

- Ważne jest to - powiedział - że spisek się nie powiódł. Jestem pewien, że dojdzie do najróżniejszych targów, kompromisów, twierdzeń, że pewne osoby nigdy w nic nie były zamieszane... konieczność polityczna. To mało. Istotne zaś jest to, że możemy wykorzystać ten skandal, by obalić całą klikę, która chciała zamknąć nas w pustelniczym królestwie.

I dojdzie do unii z Arvelem. - Wzruszenie sprawiło, że głos mu zadrżał. - Naprawdę dojdzie.

Naprawdę? - pomyśleliśmy oboje, Rero i ja.

- To wasze dzieło! - Tamara uściskała nas dwoje, tak jak staliśmy. - Gdyby nie wasza odwaga...

- Cóż, żadna odwaga - odparła Rero. - Gdybyśmy poszli z nimi posłusznie, jedno z nas by zginęło. Co mieliśmy do stracenia?

Ostrze, które uformowało się w mej duszy, wysunęło się teraz z pochwy. - Zostalibyśmy zabici, co byłoby zgodne z ich planami, gdybyś się nie wtrącił, Terangi Maclarenie. - Słowa te padały powoli, jak gdyby każde było wycinane z mego ciała.

Ogarnięty radością, nią zauważył mego nastroju.

- A cóż innego mógłbym zrobić, skoro rozpoczęła się walka? - odparł.

Zawahał się na chwilę. - Nie chodziło tylko o wasze życie, Voah i Rero, choć oczywiście miało ono dla nas ogromne znaczenie. Ale uświadomiłem sobie też, że wynikiem tej prowokacji mogło być odsunięcie się waszej rasy od nas. A byłaby to chyba największa strata, jaką kiedykolwiek poniosłaby ludzkość. Prawda?

- Twoja żona była w niebezpieczeństwie - stwierdziłem.

- Wiedziałem o tym - odrzekł. Oboje ścisnęli się za ręce. A mimo to mógł mi to powiedzieć, ona zaś słuchała, po czym skinęła głową: - Oboje wiedzieliśmy. Ale musieliśmy pamiętać o całym świecie wokół nas.

Rero i ja niniejszym zalecamy zawarcie układu, połączenie sieci teleportacyjnych, nawiązanie wszelkich możliwych form wymiany handlowej i kulturalnej. Naszym zdaniem przyniesie to korzyści przewyższające wszelkie szkody, jakich obawiają się niektórzy. Możemy nawet zaproponować środki zabezpieczenia przed niebezpiecznymi wpływami.

W szczególności zaś, o Arvelanie, nigdy nie litujcie się nad mieszkańcami Ziemi. Jeśli to uczynicie, utoniecie w smutku. Oni tak mało wiedzą o miłości. I nigdy nie dowiedzą się więcej.